

Z TEATRU KAMERALNEGO W ŁODZI



Molier: „Szkół żon“ (sezon 1947 — 48). Reżyseria: B. Korzeniewski. Scenografia: T. Roszkowska. — Na zdjęciu: J. Woszczerowicz i Z. Mro-zowska



Tadeusz Gaycy: „Homer i Orchidea“ (sezon 1946 — 47). Reżyseria: J. Wy-szemirski. Scenografia: J. Kosiński — Na zdjęciu: D. Szaflarska



Eugeniusz Pietrow: „Wyspa pokoju“ (sezon 1948 — 49). Reżyseria: St. Da-czyński. Scenografia: W. Daszewski. — Na zdjęciu: J. Chojnacka i J. Du-szyński

Foto M. Frankfurt

ode 29/49

MGLAWICA STEVENSONA

Teatr Kameralny w Łodzi.
Donald Ogden Steward:
„Gwiazda Stevensona“, sztuka w trzech aktach. Przekład **Joanny Górczyckiej**. Reżyseria: **Erwin Axer**. Dekoracje: **Otto Axer**.

Jaka jest różnica między Teatrem Kameralnym w Poznaniu a Teatrem Kameralnym w Łodzi? Teatr Kameralny w Poznaniu wystawia wyłącznie sztuki polskie, Teatr Kameralny w Łodzi wyłącznie sztuki obce. Przed trzema laty „Homerem i Orchideą“ Tadeusza Gaycy'ego teatr ten pożegnał się raz na zawsze z autorami polskimi. Na zawsze — bo sezon bieżący jest ostatnim Teatru Kameralnego w Łodzi.

Od sezonu 1946/47 prócz „Homera i Orchidei“ Teatr Kameralny wystawił jedną sztukę radziecką („Wyspę pokoju“) cztery sztuki francuskie („Spotkanie“ Anouilha, „Amfitricna 38“ „Szkół żon“ i „Nieboszczyka pana Pica“) oraz dziesięć sztuk angielskich i amerykańskich (trzy Shawa, dwie Priestleya, „Joannę z Lotaryngii“ z Ireną Eichlerówną, „Kadeta Windslow“, „Szkłaną menażerię“, „Seans“ i „Gwiazdę Stevensona“).

Są to, z niewieloma wyjątkami, poczytne solidne. Ale dlaczego ten właśnie teatr, taki wzorowy w swej pracy reżyzerskiej i aktorskiej, wypieszczający każde przedstawienie do najdrobniejszych odcieni, krzywdzi naszą powojenną twórczość dramatyczną, której powinien i potrafiłby, jak może żaden inny teatr w Polsce, iść z pomocą? Dlaczego gra same „przeboje“ zagraniczne, same „pewniaki“, zamiast od czasu do czasu zaryzykować i wprowadzić na scenę nowego autora polskiego? Na korzyść takiego autora zrezygnowalibyśmy chętnie z obojętnych nam malowideł mieszczańskich w rodzaju „Szkłanej menażerii“ czy „Nieboszczyka pana Pica“; zrezygnowalibyśmy z glupkowatego „Seansu“ i mglistej „Gwiazdy Stevensona“.

Szczególnie ta „Gwiazda Stevensona“ jest pomyłką i mistyfikacją. Autor ma jak najlepsze chęci, ale nie potrafi się z nami porozumieć. Może potrafił porozu-

mieć się z publicznością amerykańską lecz my mamy, na szczęście lepszy smak i większe wymagania, a przede wszystkim odraza nas dziś wszelka mgła snująca się po scenie, wszelki mistycyzm, zwłaszcza taki, „made in USA“.

Stevenson jest profesorem astronomii na jednym z uniwersytetów



Zofia Grabowska w „Gwieździe Stevensona“

amerykańskich i ma awansować na rektora uniwersytetu w Bingham. Ale to człowiek niesforny; mówi o sobie: „jestem detektywem ścigającym zbrodniarza, który pcha nas do następnej wojny“; gada i czyni wiele rzeczy nieostrożnych; naraża się na każdym kroku. Przyjaciele chcieliby go niejako przekupić: awans ma otrzymać za cenę milczenia. I Stevenson walczy ze sobą: czy zrezygnować ze swych humanistycznych i pokojowych idei — czy walczyć dalej? W pewnej chwili pomógł go: zasypuje się wobec milionera Harkridera, możnego protektora uniwersytetu w Bingham, człowieka który „uważa jeszcze jedną wojnę za jedyne i najlepsze rozwiązanie zagadnienia bezrobocia“. Stevenson wygłasza przed Harkridem mętne, ale dostateczne kompromi-

tujące exposé i popełnia czyn, który w kraju „Chaty wuja Toma“ uważa się za wręcz obłąkany: po przyjacielsku obejmuje Murzyna! Teraz nie ma mowy o awansie, istnieje nawet obawa, że Stevenson, którym zainteresował się już nawet jakiś psychiatra, wyrzucą z uniwersytetu i zamkną w szpitalu dla chorych umysłowo. Ale w ostatniej chwili przychodzi ratunek z nieba: Stevenson odkrywa nową gwiazdę — i od tej chwili już nic mu nie grozi! Osobliwy ten „happy end“... Czyżby istotnie takie odkrycie mogło go ocalić? Gdyby to jeszcze był wynalazek wojenny — ale gwiazda? Amerykanie



Danuta Szaflarska w „Gwieździe Stevensona“

rozumowaliby raczej: „Co nam po nowej gwieździe, skoro jest ich już tyle? To żaden busses!“

Ale ta gwiazda, mimo, że niby realna i utrwala na kliszy fotograficznej, to pewnie symbol. Bo od symbolów roi się w tej sztuce, aż trudno z nich wyłuskać istotny

*) Przypominam co pisze Leon Kruczkowski o amerykańskim astronomie Harlowie Shapleyu. („Odrodzenie“, nr. 234).

rdzeń. Stevenson nie ma się przed kim wypowiadać, więc autor, chcąc uniknąć monologów, wprowadza dwie postaci nierealne: „Umysł“ Stevensona i pannę z planety Stevensona. „Umysł“, a raczej „rozum“ czy „rozsądek“ usiłuje gorliwego wojownika pokoju przywoływać do porządku. Ale jest to postać przeprowadzona niekonsekwentnie: mówi często słowa, które powinien znać, leżąc się raczej w ustach samego Stevensona. Długie dyskusje profesora ze swym „umysłem“ dezorientują słuchacza, a są nudne, jak prawdziwe monologi. Liza jest (może!) sumieniem Stevensona. Przybyła z planety, którą tropi profesor; tam toczy się od lat wojna atomowa, na skutek której ostatecznie cała planeta eksploduje i przemienia się w gwiazdę. Ale ta Liza stale wypada z roli: ma zdrowy sen i wytworny apetyt (zjada kanapki z kawiozem); siedzi w więzieniu, bo nie zna języka angielskiego, — może należy to sobie tłumaczyć w ten sposób, że i sumienie profesora jest przez pewien czas uwięzione, gdyż Stevenson nie zna języka, w którym mógłby się porozumieć ze swymi Harkridami. Może — ale wszystko to jest zawiłe wyrozumowane, sztuczne i niesceniczne, wszystko to utrudnia jeżeli zgoła nie uniemożliwia obcowania z autorem który, jak się rzekło, ma najlepsze intencje, ale jest niedołężny.

W Ameryce, gdzie tylko rzadko i ostrożnie odzywają się głosy w obronie pokoju każdy taki głos ma szczególną wagę i „Gwiazda Stevensona“ jest tam może nawet sztuką rewolucyjną; u nas świeci bardzo bladą.

Amerykańskiego autora dobija jeszcze tłumaczka. Przekład wyjątkowo niechlujny i partacki; roi się w nim od błędów gramatycznych i stylistycznych; są miejsca przełożone widocznie zbyt dosłownie, bo polski czytelnik nie może ich zrozumieć. Niestety nie wszystkie usterki zostały przez reżysera usunięte.

Publiczność Teatru Kameralnego jest bezradna wobec tego misterium, wobec tej planety we mgle, ale po-
(Dokończenie na stronie siódmej)

MGŁAWICA STEVENSONA

(Dokończenie ze strony szóstej)

tulna; wyobrażam sobie, jakby widownia warszawska zareagowała na takie tureckie kazanie! Publiczność łódzka wierzy w swój teatr, który szeregiem doskonałych przedstawień wyrobił sobie kredyt, a „Gwiazdę Stevensoną“ wystawił tak wspaniale, że chwilami chce się nam uwierzyć w talent jej autora. Przepisuję cały afisz: **Daczyński** (Stevenson), **Borowski** (Umysł), **Szaflarska** (Liza) **Grabewska** (żona Stevenson), **Mrozewska** (jego córka), **Tatarski** (jego przyjaciel), **Łapicki** (jego asystent), **Guzek** (Murzyn), **Jaroń** (psychiatra), **Pągowski** (millioner).

Od przyszedłego sezonu kierownicy łódzkiego Teatru Kameralnego **Melina** i **Axer**, przenoszą się wraz ze swym świetnym zespołem do Warszawy. Należy powitać ich owacyjnie. Ale równocześnie przestrzec przed zbyt namiętną cudzoziemszczyzną. Otóż właśnie... skoro mowa o cudzoziemszczyźnie. Gramy do znudzenia „Zemstę“ i „Śluby panieńskie“, jak gdyby Fredro nie napisał niczego innego. A istnieje bardzo wesoła i pożyteczna, dziś znów pełna świeżych rumieńców aktualności, komedia satyryczna „C u d z o z i e m s z c z y z n a“ i czeka, by ją sobie ktoś przypo-

mniał. Gwarantujemy dwie godziny pysznej zabawy z wydzwiękiem. Może przyjaciele z Łodzi wznowią tę dowcipną krytykę, która dla nich będzie także — samokrytyką... to ładna pozycja na otwarcie sezonu. Potem niech wznowią „Homera i Orchideę“, utwór dotąd w Warszawie nie grany. I niech się trochę rozejrzą wśród nowych polskich sztuk. Bardziej niż „Gwiazda Stevensoną“ sprawie obrony pokoju przysłużyć się może nowa komedia **Stefana Flukowskiego** „Oranżeria“ (wyszła w tych dniach nakładem „Placówki“ krakowskiej); świeżutki pomysł, odkrycie kawałka dziewiczego terenu teatralnego i mnóstwo wynalazków scenicznych. Dalej — **Wirski**; przed kilku laty grano w Warszawie z dużym powodzeniem jego „Portret generała“; od tego czasu **Wirski** napisał kilka nowych sztuk, ale by zobaczyć sztukę **Wirskiego**, trzeba jechać do Krakowa lub do Moskwy. By zobaczyć sztukę **Brändstaettera**, trzeba jechać do Kielc lub do Radomia. Jest „Komedia“ **Wydrzyńskiego**, są nowe sztuki **Pomianowskiego**, **Grzybowskiej**, **Łomnickiego**. Wobec tak licznej gromady nie trzeba wskrzeszać „Nieboszczyka pana Pica“ ani szukać obcych mgławic.

Artur Marya Swinarski